

ABBI WAXMAN

*Ogród małych
kroków*

tłumaczenie Martyna Tomczak



OTWARTE

Kraków 2017

PROLOG

Od śmierci mojego męża minęły ponad trzy lata, jednak pod wieloma względami mam z niego teraz więcej pożytku niż kiedykolwiek. Wprawdzie nie mogę liczyć na to, że wyniesie śmieci, ale świetnie narzeka mi się na niego, kiedy robię to sama, i ogólnie rzecz biorąc, jest wspaniałym towarzyszem – cóż z tego, że niewidzialnym? Także w roli chłopca do bicia nie ma sobie równych, ponieważ został skremowany i w związku z tym nigdy nie protestuje, gdy go o coś obwiniam. Dużo z nim rozmawiam, choć nasze rozmowy – niegdyś metafizyczne dywagacje na temat znaczenia śmierci – z czasem przerodziły się w najwyklesze małżeńskie pogawędki o tym, co zjeść na obiad albo kto zgubił formularze deklaracji podatkowych.

Kiedy zginął w wypadku samochodowym piętnaście metrów od naszego domu, ja również chciałam umrzeć. Nie dlatego, że miałam złamane serce – choć miałam – ale ponieważ zupełnie nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak zdołam bez niego sprostać wyzwaniom codzienności. Tak czy inaczej, dobrze, że nie umarłam, bo czekałby na mnie w niebie i, o rany, byłby mocno

wkurzony. Wieczność w jego towarzystwie trwałaby naprawdę długo, jestem tego pewna.

Zatopiona w beładnych myślach, jechałam samochodem, kiedy zadzwonił telefon. Na ekranie wyświetlił się numer mojej siostry Rachel.

– Cześć, Lil, pewnie odbierasz dzieciaki? – Sam dźwięk jej głosu sprawił, że się uśmiechnęłam.

– Owszem. To dość żenujące, że tak dobrze znasz mój rozkład dnia.

Włączyłam kierunkowskaz, zwolniłam nieco na światłach, po czym skręciłam, a to wszystko z telefonem wciśniętym nieprzepisowo między ucho a ramię. Czasami zadziwiam samą siebie.

– A możesz w drodze powrotnej podrzucić mi parę rzeczy?

– Umawialiśmy się, że wpadnę?

Zapomniałam? To nie było wykluczone.

– Całkiem możliwe. Skąd mam wiedzieć? Tak czy siak, od kilku dni nie widziałam dziewczynek, a wiesz przecież, jak za mną tęsknią.

Roześmiałam się.

– Mogę z pełną szczerością zaświadczyć, że ani razu o tobie nie wspomniały.

Rachel zachichotała.

– Pewnego dnia pogodzisz się z myślą, że kochają mnie bardziej niż ciebie. Wypierając to, tylko utrudniasz nam wszystkim życie.

Włączyłam się w sznur oczekujących aut i uśmiechnęłam przez szybę do dyżurującej nauczycielki.

– Niech będzie, przepadają za tobą. Co ci przywieźć? Jakieś podstawowe wiktuały typu mleko czy raczej coś bardziej w twoim stylu, jak lubrykant albo podpałka do kominka?

Mała dłoń plasnęła o szybę, sprawiając, że podskoczyłam z przestachu, i pozostawiając brudny ślad. Właścicielka dłoni,

Annabel, zajrzała do wnętrza auta i zmrużyła oczy. Jej młodsza siostra Clare stała nieco z tyłu, rozglądając się nieprzytomnie. Nauczycielka posłała mi zza ich pleców sztywny uśmiech. W jej oczach lśniła wymęczona cierpliwość zabarwiona niejasną groźbą, która nakazała mi natychmiast pakować dzieciaki do środka i wynosić się stąd do diabła. Pośpiesznie odblokowałam drzwi, pragnąc jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem jej morderczego spojrzenia.

– Potrzebne mi pół kilo boczku – mówiła tymczasem Rachel. – Do tego parmezan, spaghetti, jajka, bochenek chleba i butelka czerwonego wina. Aha, i oczywiście masło.

– Oddzwonię do ciebie. – Wyprostowałam głowę i odłożyłam telefon na podłogę. – Pomóc ci ją zapiąć, Bel?

– Poradzę sobie.

Annabel, choć skończyła zaledwie siedem lat, obdarzona była powagą czterdziestopięcioletniej pracownicy dyplomacji. Taka już się urodziła: stopniowo opanowała sztukę ssania piersi, potem raczkowania i spożywania stałych pokarmów, ze stoickim spokojem przyjmując każde kolejne wyzwanie, jakie przed nią stawiałam. Przyglądała się światu z rezygnacją, jakbyśmy wszyscy byli dokładnie tacy, jak opisano nas w broszurce: odrobinę rozczarowujący, ale cóż można na to poradzić? Zapięła Clare w foteliku, mocując się z paskiem.

– Za ciasno?

Clare pokręciła głową.

– Za luźno?

Clare znów zaprzeczyła, wlepiając w starszą siostrę ufne spojrzenie wielkich brązowych oczu. Annabel skinęła głową i zapięła własny pas pewnym ruchem godnym raczej pilota oblatywacza tuż przed pięćdziesiątym startem niż kogoś bez przednich zębów i ze spinką w kształcie Dory Odkrywczyni we włosach.

– Możemy jechać – oznajmiła.

– Clare? – Chciałam się upewnić, że mała nie straciła od rana umiejętności budowania zdań. Gdyby tak było, pewnie zadzwoniliby do mnie ze szkoły, choć przy tych cięciach budżetowych, kto wie?

– W drogę, hej ho. – W porządku, sygnał z najmniejszej planety w układzie odebrany.

Wymacałam na podłodze telefon i oddzwoniłam do Rachel. Tym razem włączyłam głośnik i położyłam aparacik na kolanach. W końcu w samochodzie są dzieci – bezpieczeństwo przede wszystkim, proszę państwa. Rachel odebrała, zanim zdążył wybrzmieć pierwszy sygnał. Moja siostra jest niezwykle zajęta osobą.

Śledząc inne samochody w poszukiwaniu luki, w którą mogłabym się wcisnąć, wrzasnęłam do mikrofonu:

– Hej, czemu chcesz, żeby ci przywieźć składniki do carbonary? I czemu nie możesz sama ich kupić, kiedy będziesz wracać z pracy?

– Bo lubię ci zadawać zagadki i rzucać drobne wyzwania, żebyś nie wyszła z formy. Inaczej mózg ci obumrze, a kto będzie wtedy pomagał dziewczynkom w lekcjach?

– Czy my też załapiemy się na wyżerkę?

– Jasne. Będzie mi bardzo miło. Czemu na mnie krzyczysz?

– Nie krzyczę na ciebie, zepsuł mi się Bluetooth. Ale cieszę się, że zrobisz obiad.

Skręciłam w lewo.

– Jedziemy do sklepu? – zapytała Annabel. Wiedziałam, że nie lubi sklepów, ale liczyłam na to, że zwycięży nadzieja na nadprogramowe słodczyce.

Skinęłam głową.

– Jeszcze jedno – dodała moja siostra. – Będziesz musiała mi powiedzieć, jak się robi carbonarę.

– A potem pojedziemy do cioci Rachel? – spytała Clare.

Przytaknęłam, a po chwili potrząsnęłam głową. Moja siostra właśnie ćwiczyła na mnie sztuczkę umysłową rycerzy Jedi zwaną „to nie są droidy, których szukacie”.

– Czekaj, Rach, wytłumacz mi coś: skoro to ja robię zakupy i ja będę gotować, czemu po prostu nie przyjedziesz do mnie?

Cisza.

– Rzeczywiście, to znacznie lepszy pomysł. Dzięki! Do zobaczenia.

Ton jej głosu podpowiedział mi, że zaraz się rozłączy.

– Stop – przerwałam jej. – Skoro przyjeżdżasz na obiad, możesz po drodze zrobić zakupy. Nie zapominaj, że ja mam na głowie dzieci.

– No tak. Niech będzie.

Rozłączyła się.

Spojrzałam na Clare w lusterku wstecznym.

– Nie, kochanie. Ciocia Rachel przyjedzie do nas.

Dziewczynki wyraźnie się ucieszyły. Naprawdę lubiły ją bardziej niż mnie. Co w tym zresztą dziwnego? Potrafiła zmienić prośbę o przysługę w zaproszenie na kolację i na dodatek sprawić, że wykiwany nie miał cienia pretensji.

PRZYGOTOWANIE OGRODU



Gdy gleba jest wystarczająco miękka, należy ją przekopać, a potem zostawić na kilka dni.

- Przysyp ziemię 2,5-centymetrową warstwą kompostu. Nie bądź sknerą!
- Spulchnij ziemię widłami. Wmieszaj kompost. Wygrab kamyki i inne śmieci, żeby podłoże było gładkie.
- Zagon 3 × 5 metrów to dobry rozmiar dla początkujących. Jeśli jednak cię onieśmiela, zacznij od czegoś mniejszego. Pamiętaj, doniczka na balkonie to też ogród.
- Na opakowaniu z nasionami znajdziesz morze przydatnych informacji. Dotyczą one chociażby warunków czy pory wysiewu. Masz wątpliwości? Zapytaj w sklepie ogrodniczym lub zadzwoń do najbliższego centrum doradztwa rolniczego. Ogrodnicy uwielbiają hodować sobie naśladowców.

ROZDZIAŁ 1

Jestem ilustratorką, co brzmi romantycznie – jakbym spędzała dni pod rozłożystym drzewem upstrzonym plamkami słońca, z zestawem akwareli stabilnie opartym na kolanie. W rzeczywistości pracuję przy komputerze, zgarbiona na biurowym krześle, niszcząc sobie kręgosłup. Słońce świeci, owsem – to w końcu południowa Kalifornia.

Uwielbiam tradycyjne ilustracje, wykonywane ołówkiem lub farbami, i żałuję, że nie mam więcej czasu, żeby się im poświęcić, ale po skończeniu studiów znalazłam pracę przy ilustrowaniu szkolnych podręczników. Przyjęłam ją z myślą, że to dobre na start, okazało się jednak, że ugrzęzłam po uszy w strefie komfortu – z niezłą pensją, dodatkami pracowniczymi, darmową kawą i nieograniczonym dostępem do podręczników do drugiej klasy podstawówki. Od niemal stulecia osiemdziesiąt dwa procent amerykańskich uczniów korzysta z pomocy szkolnych wydawnictwa Forest Press. Uwielbiam tę robotę. Uczę się mnóstwa ciekawych rzeczy i tworzę obrazki, które dzieci nie tylko oglądają, ale też nierzadko wzbogacają o miniaturowe kapelusze czy wąsy. Kiedyś Annabel przyniosła do domu jedno z moich

dział – czwarte wydanie *Historii oczami dziecka* – i zobaczyłam, że przeszło przez dziesiątki rąk, a kolejni właściciele dorysowali moim postaciom historycznym szczegóły, jakich nie byłabym w stanie sobie nawet wyobrazić. Kto by pomyślał, że prezydent Van Buren był tak świetnie wyposażony?

W dziale kreatywnym jest nas czworo, plus zatrudniony na pełen etat autor, troje korektorów i główna asystentka, która praktycznie rzecz biorąc, zawiaduje całym tym majdanem. Kiedy tego ranka weszłam do biura, spojrzała na mnie i złożyła usta w ciup.

– Lilian, korekta odesłała twój wielorybi penis.

Uniosłam brwi.

– Rose, jak długo czekałaś, żeby mi to powiedzieć?

Nawet nie mrugnęła.

– Wiadomość przysłała o siódmej, więc parę godzin.

Nie zatrzymałam się.

– Przekaż im, że jutro rano dostaną go z powrotem.

Zakasłała.

– Już im powiedziałam, że załatwisz to jeszcze dziś.

Przystanęłam i odwróciłam się.

– Dlaczego?

Przeglądała ukryte pod biurkiem czasopismo.

– Bo mogłam dodać: „Dostaniecie swojego penisa z powrotem dziś wieczorem, stoi?”.

– Rozumiem, że trudno było się oprzeć takiej pokusie.

Wzruszyła ramionami.

– W oceanie codziennego znoju człowiek chwyta się każdego promyczka słońca.

Sasha, koleżanka z pokoju, podniosła wzrok, kiedy weszłam.

– Hej, czy Rose mówiła ci o penisie?

– Owszem. Dalej potrzebujesz mojej pomocy przy tym podręczniku do biologii?

- Mówisz o stadiach rozwoju kurzego jajka? Mogą poczekać.
- Okej, dzięki.

Wzruszyła ramionami.

- Tak czy inaczej, jestem pewna, że pierwsza była kura.

Powiedzmy to sobie jasno: dział kreatywny Forest Press niecodziennie jest mekką komedii. Często bywa tu bardzo nudno, zwłaszcza gdy uaktualniamy wademekum chemiczne albo coś w tym rodzaju. Zdarzają się jednak dobre chwile, no i nigdy nie brakuje kawy.

Usiadłam, otworzyłam folder i zagapiłam się w ekran. Była tam pojedyncza, dość mała ilustracja z podręcznika do weterynarii. Nie bardzo rozumiałam, do czego jest im potrzebna. Owszem, należy dbać o szczegóły, ale jak często weterynarzom przychodzi operować wielorybie penisy? Kiedy ostatnio się zdarzyło, że ktoś przywiózł do lecznicy papużkę i nie zmieścił się w poczekalni, bo większość krzesłek zajmował zestresowany wieloryb-impotent? Albo młoda wielorybia para, trzymająca się za pletwy, spoglądająca tęsknie na zamknięte w kartonowych pudełkach kocicęta oraz szczeniaczki, od czasu do czasu wymieniająca krzepiące spojrzenia i pokasłująca nerwowo? Zajrzałam do maila: korektorzy odesłali plik, ponieważ jeden z podpisów zawierał literówkę. Jakim cudem ją wyłapali? Sięgnęłam po telefon i wystukałam numer.

- Korekta, mówi Al.

- Al, tu Lili.

- Cześć, Lili. Przykro mi z powodu twojego penisu.

Przekreśliłam się na krześle.

- Jezu, co was dziś wszystkich napadło? Zbiorowa głupawka?

- Można to tak ująć.

– Mam pytanie, Al: czy tam na pewno jest błąd? Z materiałów, które dostałam od wydawcy, wynika, że wszystko się zgadza. Co wy tam u siebie macie, *Encyklopedię penisów? Wielką księgę genitaliów?*

Jego głos zdradzał rozbawienie:

– Nie mogę ujawniać naszych źródeł, dobrze o tym wiesz. Musiałbym cię zabić, a wtedy stracilibyśmy naszą najlepszą ilustratorkę.

Odwrociłam się do Sashy.

– Twój chłopak właśnie powiedział, że jestem najlepszą ilustratorką.

W słuchawce rozbrzmiał krótki wrzask. Sasha wzruszyła ramionami, nawet się nie odwracając.

– Powiedz mu, że odkąd zobaczyłam harpun Moby Dicka, nie jestem już nim zainteresowana.

– Al, twoja dziewczyna zamierza cię zostawić dla walenia.

– Znowu? Zdzira. Ale serio, nasz człowiek w oceanarium wyłapał literówkę, sprawdziliśmy u wydawcy i okazało się, że machnęli się w oryginalnym tekście. To nic wielkiego, po prostu sprawdzamy fakty. Taka praca.

– W takim razie niech ci będzie. Nie wiedziałam, że macie na łączach specja od wielorybów.

– Powtarzam, nie mogę ujawniać swoich źródeł, ale jak myślisz, jak dwóch zarośniętych humanistów miałoby sprawdzać te wszystkie mądrości, jeśli nie z pomocą całego tłumu tęgich głów o bardzo wąskich specjalizacjach?

– Masz rację, Al.

Odłożyłam słuchawkę, poprawiłam błąd i odesłałam dokument do Rose z dopiskiem, żeby wetknęła im ten penis, gdzie trzeba. Wiedziałam, że to doceni.

Po chwili zadzwonił telefon. Rose.

– Wołają cię na górę.

Nachmurzyłam się.

– Wylatuję z pracy?

Cmoknęła zniecierpliwiona.

– Nie mam pojęcia. Może ruszyłabyś tyłek i sama poszła sprawdzić?

Plotka głosi, że Rose była kochanką pierwszego pana Foresta, który zainstalował ją w dziale artystycznym, jak go wówczas nazywano, aby ukryć ją przed żoną. Jednak gdyby to była prawda, Rose musiałaby dobiegać osiemdziesiątki, a nie dobiega. Mimo wszystko jestem przekonana, że ma tu na kogoś haka. Inaczej wylaliby ją dawno temu. Jej podejście do ludzi przypomina stosunek lwa do gazeli. Westchnęłam i ruszyłam na górę, by stanąć oko w oko z naszą naczelną, Robertą King.

Roberta King była prawdopodobnie mniej więcej w moim wieku, a mimo to miałyśmy ze sobą tyle wspólnego, co wrotki i samochód wyścigowy. (To nie najlepsza analogia, ale przyszła mi do głowy, ponieważ używał jej mój ojciec. Umarł w zeszłym roku, ja jednak wciąż podtrzymuję pamięć o nim, kradnąc jego najlepsze teksty). Widziałyśmy się może kilkanaście razy w życiu, podczas spotkań integracyjnych, mających pomóc nam stworzyć biurową wspólnotę przez grę „zaufanie” i całe mnóstwo innych, równie upiornych zabaw – pamiętam tylko, że wydawała się nimi równie zażenowana jak ja.

Tego dnia ubrałam się w zwykły zestaw pracującej matki – długa spódnica, kozaki (a pod nimi dwie różne skarpetki, niewidoczne jednak pod spódnicą), bluzka z długim rękawem, w której spałam, i nieco rozciągnięty sweter z wycięciem werek, kupiony w supermarkecie Target. Roberta miała na sobie garsonkę. Pachniała kwiatami. Ja goframi ze śniadania.

Mimo to uśmiechała się do mnie, jakbyśmy byli przyjaciółkami od lat, co oczywiście znaczyło, że zaraz wylecę z pracy.

– Cześć, Roberto. Rose mówiła, że chcesz się ze mną widzieć.

– Tak, Lili, cześć, wchodź. Siadaj.

Odsunęła się z krzesłem od biurka i założyła nogę na nogę, co miało zapowiadać nieformalną babską pogaduchę. Podejmując konwencję, usiadłam lekko pod kątem i też założyłam nogę na nogę.

– Jak tam dzieci?

O-o, pytanie osobiste.

– Bardzo dobrze, dziękuję. Wiesz...

Cholera, zatkało mnie. Czemu to było takie trudne? Obie byłyśmy kobietami, obie pracowałyśmy w branży wydawniczej, obie jajczkowałyśmy, pociliśmy się, jadałyśmy lody, by czuć potem wyrzuty sumienia, czytałyśmy magazyn „People” w kolejce do kasy i zastanawiałyśmy się, co myślą o nas inni. Powinnyśmy być teraz bardziej wyluzowane.

– Masz dwie córeczki, zgadza się?

Skinęłam głową.

– I martwego męża? – Okej, tego nie powiedziała, sama dodałam to w myślach. Ludzie, którzy mnie nie znają, często dopytują: „A gdzie twój mąż?” albo: „Czym zajmuje się twój mąż?”, i bardzo trudno jest odpowiedzieć: „W niebie, miejmy nadzieję” lub też: „Och, no wiesz, głównie gniciem”. Tak czy inaczej, Roberta o nim nie wspomniała, co oznaczało, że pamięta o moim wdowieństwie i traktuje mnie z wyczuciem oraz empatią. Małpa.

– Lili, jak wiesz, branża wydawnicza ostatnio dość cienko przędzie. W całym kraju tnie się wydatki na edukację, co ma oczywiście bezpośredni wpływ na nas. Forest trzyma się na powierzchni tylko dzięki opanowywaniu kolejnych gałęzi rynku.

Zachichotałam. Roberta zamilkła i lekko zmarszczyła brwi. Zaczerwieniłam się.

– Wybacz... Myślałam, że to gra słów. No wiesz, Forest... i te gałęzie...

Gotowa byłam przysiąc, że w ciszy, która zapadła, pobrzmiwały świst wiatru i odległe pohukiwanie sowy.

Roberta odchrząknęła.

– Na szczęście trafiła nam się pewna okazja. Bloem Company to jedna z największych firm ogrodniczych na świecie. – Przytaknęłam. Nawet ja o nich słyszałam, choć nie odróżniam szalwii od szczawiu. – Stworzyli serię przewodników

po kwiatach, a teraz chcą wypuścić kolejną, o warzywach. Tę o kwiatach wydała nieduża oficyna, która właśnie splajtowała, dlatego zgłosili się do nas.

Pokiwałam głową i przybrałam minę sugerującą absolutne skupienie, dla lepszego efektu marszcząc brwi. W rzeczywistości niczym pies czekałam, aż padnie moje imię.

– Chcielibyśmy, żebyś to zilustrowała.

Znów skinęłam głową. Roberta zamilkła.

– Byłoby... świetnie.

Nic nie rozumiałam. Po co to całe zamieszanie? Czemu ściągnęła mnie do swojego gabinetu, żeby przekazać mi zlecenie? Zazwyczaj dowiadujemy się o takich rzeczach podczas krótkich zebrań na dole, a szczegóły przychodzą do nas mailem.

– To kawał roboty – podjęła Roberta.

– No tak, na świecie jest mnóstwo rodzajów warzyw.

– Owszem. A ci od Bloema chcą opisać je wszystkie. Planują wydać kilka tomów plus suplement.

– Ubóstwiam suplementy.

– I chcemy, żebyś zrobiła to ręcznie, nie na komputerze. Akwarelami, piórkiem i tuszem, węglem, wybór należy do ciebie. Bloemom zależy na estetyce i ponadczasowości. A jednocześnie na czerpaniu zysków z powracającej mody na slow food, organiczne uprawy i lokalne rolnictwo. – Denerwowała się, słyszałam to w jej głosie. Nagle spojrzała na mnie i wypaliła: – Obawiam się, że zrobiłam coś okropnego. Naprawdę, naprawdę okropnego.

Byłam zaskoczona, bo nie sprawiała wrażenia kobiety zdolnej do naprawdę okropnych czynów, ale przygotowałam się na wstrząs.

– Powiedziałam im, że pójdziesz na kurs ogrodniczy – wyjaśniła. Odchrząknęła i dodała: – Konkretnie kurs uprawy warzyw.

– Słucham? – Zmarszczyłam brwi. – Powiedziałaś: kurs ogrodniczy?

Roberta spiekła raka.

– Rozmawiałam przez telefon z babką od Bloemów, która wspomniała, że jeden z synów właścicieli prowadzi kursy uprawy warzyw tu, w Los Angeles. Obiecałam, że cię zapiszemy.

– Na zajęcia?

– Tak.

– Z uprawy warzyw?

– Tak – powtórzyła wolniej, uznawszy najwyraźniej, że nie rozumiem, o co jej chodzi. – Obiecałam, że weźmiesz udział w kursie uprawy warzyw. – Powiedziała to takim tonem, jakim ktoś inny mógłby oświadczyć: „I będziemy cię powoli zanurzać w beczce z kwasem, nogami w dół”.

– Ale ja nie mam nic przeciwko. To całkiem fajnie brzmi. – Po chwili milczenia dodałam: – Chyba że chodzi o trzyletnie studia i mnóstwo ciężkiej fizycznej pracy.

Roberta pośpiesznie pokręciła głową.

– Sobotnie przedpołudnia, sześć tygodni. Oczywiście wynagrodzimy ci stracony czas.

Kiedy lekko wzruszyłam ramionami, ożywiła się jeszcze bardziej.

– Poza tym dostaniesz dodatkowy urlop.

Zrobiłabym to za nic, ale ona nie musiała o tym wiedzieć.

– Brzmi w porządku.

Roberta zadrżała.

– Sama bym poszła na ten kurs, ale to niemożliwe.

W tym momencie zmieniłam nieco zdanie na jej temat.

– Dlaczego nie?

– Nie znoszę robali. – Wzdrygnęła się jeszcze mocniej i chyba nawet trochę zbladła, choć trudno było to dostrzec pod grubą warstwą makijażu. – Mam złe wspomnienia z dzieciństwa. W ogóle trzymam się z dala od gleby, wiesz, tak na wszelki wypadek.

Musiałam przygryźć wargę, by nie zapytać jej o szczegóły. Czego mogą dotyczyć te złe wspomnienia? Wyobraziłam sobie,

jak pędzi przed siebie, mała dziewczynka ubrana w śliczny zestaw z Baby Gap, potyka się, upada, cienkie warkoczki podskakują w zwolnionym tempie, ślizg na brzuchu po ziemi, spotkanie oko w oko z dżdżownicą... która wyciąga pistolet i strzela? A może gryzie ją w nos? No naprawdę, przecież one nawet nie mają zębów. Ale nie mówi się ludziom takich rzeczy. Nie należy otwarcie drwić z czyichś lęków. Muszę zatem pamiętać, by zrobić to później, w domowym zaciszu.

Wciąż zerkąła na mnie niespokojnie.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Oczywiście, bardzo chętnie. Na pewno mnie to zainspiruje.

Nie dodałam, że mogłabym równie dobrze przeprowadzić analizę przedmiotu na marchewce w supermarkecie. Roberta uważała, że kurs pomoże mi w pracy, a kim byłam, by się z nią spierać?

Wstała, wyraźnie rozluźniona. Garsonka ułożyła się na niej idealnie, bez jednego zagniecenia. Może trzymała pod biurkiem małego człowieczka, który dmuchał na nią gorącą parą? Moje ciuchy wciąż wyglądały, jakby ktoś zmiął je w kulę i nią we mnie rzucił.

– Znakomicie. Początek kursu w najbliższą sobotę. Możesz wziąć ze sobą dzieci.

Podziękowałam jej, a ona mnie, uścisnęłyśmy sobie dłonie i jeszcze raz wymieniliśmy podziękowania, po czym Roberta dodała:

– Bardzo się martwimy o przyszłość wydawnictwa. Ale wiem, że zrobisz dobre wrażenie i świetną robotę i że zdołasz nas ocalić.

– Czyli żadnej presji. – Próbowałam złagodzić sarkazm bladym uśmiechem.

Na to Roberta, po raz pierwszy, odkąd przekroczyłam próg gabinetu, uśmiechnęła się do mnie szczerze.

– Wiem, że dasz sobie radę.

Słaniając się lekko, wyszłam na korytarz i ruszyłam ku schodom.